

Kultura – panteon czy zbiorowy grób?

Cezary Michalski

kadr z filmu To nie jest oficjalny spot KONGRESU
Guzik Owcy (2011)



Wielu zawiedzionych agnostyków kulturalistycznej religii ukrywają wydziały polonistyki, filozofii, wydawnictwa książkowe czy oddziały organizacji twórczych.



Powód, dla którego tak wielu z nas nie tylko zdradza kulturę, ale daje się także ponieść gwałtownej niechęci wobec niej (co sprawia zresztą, że przyspieszamy destrukcję formacji inteligentnej tak charakterystycznej dla naszej narodowej kultury), wydaje się prosty. Wypełnia nas dokładnie ta sama negatywna pasja, co ludzi kiedyś religijnych, czasami nawet religijnych żarliwie, którzy utracili wiarę. Niesdoszły albo były inteligent z mojego pokolenia, który dawno już zamiast tworzenia czy pielęgnowania kultury wybrał politykę, pieniądze czy media, atakuje – publicznie albo przynajmniej w swoim szczerym monologu wewnętrznym – porzucony przez siebie polonistyczny, literacki, filozoficzny, socjologiczny, inteligentki warsztat. Czasami czyni to z taką samą pasją, z jaką Stalin (w młodości uczeń prawosławnego seminarium) czy Dzierżyński (w młodości żarliwy katolik marzący o życiu zakonnym) burzyli później kościoły i cerkwie, a popów i księży skazywali na śmierć.

Moje pokolenie i pokolenie nieco starsze dorastało jeszcze w kręgu oddziaływania czegoś, co można nazwać kulturalistyczną religią wysokiego modernizmu. Zaprowadziła nas do kultury ta sama obietnica, która wcześniej prowadziła ludzi ku religii i Kościołowi. Była to obietnica indywidualnej nieśmiertelności, nieśmiertelności może nie ciałem – jak w wypadku obietnicy religijnej – ale na pewno imieniem. Nieśmiertelności w tekście.

Przypomnijmy sobie choćby sympatyczne zaklęcie Stanisława Brzozowskiego: „zabrać ze sobą wszystko do nawrócenia”. To oczywiście zdanie wieloznaczne, ale naszego najzarliwszego modernistę przepelniało także kulturalistyczne marzenie o uwiecznieniu w tekście, w stylu każdego załamania swojej myśli, każdego wybuchu swojej pasji, każdego odcienia swego charakteru. Uwiecznić w stylu, unieśmiertelnić +

w kulturze – w kręgu tej samej kulturalistycznej obietnicy wysokiego modernizmu znajdował się też Fryderyk Nietzsche, kiedy w *Ecce homo* (ironicznie przypomnianym ostatnio przez Houellebecq'a we *Wrogach publicznych*) uznał za swój obowiązek przekazanie potomności, „uwiecznienie” w tekście, informacji, że „lubi odfluszczone kakao”. Houellebecq stwierdza, że jest to nieporównywalnie ciekawszy moment twórczości Nietzschego niż *Tako rzecze Zaratustra* i trudno nie przyznać mu racji. Chodzi nie tylko o ciężki styl *Zaratustry*, ale także o to, że w owym zaskakującym wyznaniu jesteśmy blisko samego apogeum kulturalistycznej religii i jej podstawowej obietnicy – nieśmiertelnienia imienia i osoby autora w tekście.

Jak się ta obietnica rozspala? Nie sięgnę tutaj po tekst Rolanda Barthes'a o „śmierci autora”, bo tam walczy się jeszcze – żarliwie i prowokacyjnie – z obietnicą kulturalistycznej nieśmiertelności indywidualnej, tak jakby wciąż była ona żywa i pociągająca. Barthes jest żarliwym ateistą, antyklerykałem kulturalistycznej religii. Ale my żyjemy już w czasach jej całkowitego wygaśnięcia. Posłużę się zatem przykładem bardziej odpowiednim dla naszych czasów. Przywołam fragment powieści J.M. Coetzeeo Elizabeth Costello, w którym bohaterka książki, wyobrażona pisarka będąca częściowo medium i *porte-parole* nadziei i rozczarowań Coetzeeo, przedstawia swoją własną kulturalistyczną wiarę i jej upadek. Czyni to w przemówieniu wygłoszonym w Williamstown w Pensylwanii, gdzie się udała, aby odebrać nagrodę literacką *Stowe Award*, na którą – jak precyzuje Coetzee w ataku swej najbardziej mrocznej antykulturalistycznej ironii – składa się „50 tysięcy dolarów i złoty medal”.

Elizabeth Costello mówi: „pierwszą książkę opublikowałam w 1955 roku [...] pamiętam do-

kładnie ten dzień, kiedy przyszła paczka z książką, egzemplarzem autorskim. Byłam naturalnie podekscytowana tym, że trzymam ją w ręku, wydrukowaną i oprawioną, tak realną i niezaprzeczną. Ale coś nie dawało mi spokoju. Zadzwońłam do mojego wydawcy. «Czy zostały rozesłane egzemplarze promocyjne i recenzentkie?», zapytałam. I nie spoczęłam, dopóki nie zapewnili mnie, że książki zostaną wysłane jeszcze tego popołudnia do Szkocji, do Bodleian Library w Oksfordzie i tak dalej, ale przede wszystkim do British Museum. To była moja wielka ambicja: mieć swoje miejsce na półkach British Museum, grzbiet w grzbiet z innym «C», tymi wielkimi – Carlyle'em, Chaucerem, Coleridge'em i Conradem (najśmieszniejsze było to, że moją literacką sąsiadką okazała się Marie Corelli) [...] Za moją troską o darmowe egzemplarze kryło się pragnienie, żeby nawet jeśli następnego dnia potraci mnie autobus, to moje pierwotne dziecko miało swój dom, w którym, jeśli tak zrządzi los, będzie mogło podzrymywać przez najbliższe sto lat i nikt nie będzie go dźgał kijem, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyje. To był jeden aspekt moich nalegań na wydawcę: jeśli ja, jako śmiertelna powłoka mam umrzeć, to niech pozostaną żywa przynajmniej w swoim dziele. [...] Ale oczywiście British Museum czy, obecnie, British Library nie będą trwały wiecznie. Także i one zmurszeją i rozpadną się, a książki na półkach zamienią się w proch. Zresztą nawet już wcześniej, gdy kwas przeżre papier i trzeba będzie zwolnić miejsce, te brzydsze, nieczytane i niechciane książki zostaną wywiezione, ciśnięte w ogień i wszelki ślad po nich zostanie usunięty z głównego katalogu. I będzie tak, jakby nigdy nie istniały. To jest alternatywna wizja Biblioteki Babel, która niepokoi mnie bardziej niż wizja Jorge Luisa Borgesa. Nie biblioteka, w której współlistnieją wszelkie wyobrażalne książki z przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, ale biblioteka, w której książki naprawdę napisane i wydane są nieobecne, nawet wymazane z pamięci bibliotekarzy”.

Mamy tutaj najbardziej zwięzłą historię pewnego złudzenia i jego utraty, zrozumiałą dla każdego z nas. Wszyscy oglądaliśmy przecież kiedyś film *Amadeusz*. Wychowywaliśmy się na parareligijnym micie Mozarta, którego ciało zgniło w zbiorowym grobie, ale imię/muzyka przetrwały na wieczność w niebie kultury. Studiowaliśmy też przypadek Norwida umierającego w absolutnej pogardzie współczesnych jako półwariat w przytułku, adresującego się jednak patetycznie do „późnych wnuków” i przez późnych wnuków w narodowej kulturze faktycznie ożywionego. Przez Miriama jako esteta, przez Brzozowskiego jako ideolog.

Coetzee proponuje nam wizję bez porównania bardziej przerażającą, pascalską, w której także kultura, zamiast być panteonem, okazuje się zbiorowym grobem, w którego anonimowość trafiają partytury, płótna, taśmy celuloidowe, pliki cyfrowe i książki.

Ateistami i wściekłymi antyklerykałami kulturalistycznej religii są oczywiście ci spośród nas, którzy głośno z kulturą zerwali – idąc do świata polityki, mediów, pieniądza i publicznie przeciwko kulturze („wysokiej”) bluźniąc. Ale wielu zawiedzionych agnostyków kulturalistycznej religii ukrywają także wydziały polonistyki, filozofii, wydawnictwa książkowe czy oddziały organizacji twórczych. Tyle że oni nie odważają się na głośne bluźnierstwa, żyją bowiem jeszcze jakoś z religii, w której obietnicę nie wierzą. Nie różnią się w ten sposób od księży potulnie odprawiających mszę, mimo że nie ma już w nich wiary w akt przeistoczenia.

Obserwowałem z odległości mniej więcej jednego metra twórcę i redaktora „bruLionu”, jednego z ostatnich interesujących wytworów naszej narodowej kultury, kiedy podejmował decyzję o faktycznym zniszczeniu swego dzieła (w apogeum jego sukcesu i popularności), żeby po-

święcić się najpierw dość kiepskiej (jak możemy to stwierdzić z perspektywy czasu) produkcji telewizyjnej, a później czemuś w rodzaju religii. Widziałem redaktora „Tygodnika Literackiego”, którego coraz bardziej pociągały polityka i media. Widziałem świetnego młodego filozofa, realnego pomysłodawcę tygodnika „Europa”, jak się znęcał nad inteligentami i ich „inteligentkimi tekstami” trafiającymi do redagowanego przez niego „Dziennika”. Sam bowiem porzucił kiedyś filozofię na rzecz dziennikarstwa. Po pierwsze, żeby utrzymać rodzinę, ale po drugie, dlatego że utracił wiarę w kulturalistyczną religię wysokiego modernizmu i jej obietnicę. Nie potrafię tych ludzi za ich „antykulturalizm” osądzić, sam bowiem nie czuję żadnego przywiązania do kultury nie potrafiącej powtórzyć modernistycznej obietnicy indywidualnej nieśmiertelności, która wydawała się żywa jeszcze Joyce’owi, Musilowi, Mandelstamowi czy Bułhakowowi („rękopisy nie płoną”). Nie czuję żadnego przywiązania do kultury archiwów, bibliotek i opracowań, dopóki takiej obietnicy nie potrafi ona ponownie przekonująco przedstawić. Przeciwnie, do kultury klasycystycznej i martwej czuję antykulturalistyczną nienawiść podobną do tej, jaką prowokuje każda schyłkowa religia czy degenerująca się Kościół. Aby przestał tę antykulturalistyczną nienawiść odczuwać, współczesna mi kultura musiałaby mnie zadziwić jakimś „drugim przyjściem”, jakimś wybuchem twórczego lub przynajmniej niszczycielskiego entuzjazmu. Jestem, jak widzicie, chłopcem potwornie wymagającym i nieprawdopodobnie wprost roszczeniowym. Także dlatego, że również ja sam nie potrafiłem w kulturze do tej pory takiej żywej obietnicy nieśmiertelności czy „drugiego przyjścia” samemu sobie ani nikomu innemu przedstawić. W ten sposób jednym z obiektów przepelniającej mnie antykulturalistycznej nienawiści staję się ja sam. ●